

I nastąpiła ciemność

(Dokończenie ze strony 9)

Przez zacierające się majaki niespokojnego, wirującego, wrogiego świata ujrzał wyłaniający się obraz – spójny i gładki jak marmurowy monolit. I to, nad czym się głowił, z czym zmagał, co powodowało szybsze bicie serca i nieprzyjemne zlewne poty – naraz przybrało jasną i klarowną postać. Nawet nie jedną, lecz kilka. Z zaciekawieniem przyglądał się ludziom stojącym przed nim i uśmiechającym się miło, zachęcająco. Nie wszystkich rozpoznał, aczkolwiek twarze niektórych wydały się znajome. Nawet na pewno – tak, był pewien, określił i nazwał nawet kilka znajomych osób, z którymi z racji swojej odpowiedzialnej funkcji miał kontakty służbowe. Czyżby to był znak? Z pewnością te osoby zechcą mu pomóc. Musi tylko z nimi obgadać pewien pomysł, który zakiełkował w jego głowie, ni jak nie chciał jej opuścić. A dotyczyć miał, no cóż, nazwijmy to po imieniu, wyeliminowania tworzącej się groźnej koterii. Trzeba było ją zdusić, zadać śmiertelny cios. Podniecił ją ta idea. Gargulce zaczęły nieprzyjemnie krakać, ich charkot przypominał coś jakby kaszel. Gdzie jestem, do diabła?

Z mgły wyłoniły się inne twarze. Tylko dlaczego to są jego koledzy z podwórka? Wittek, Romek, Zdzych. Nawet mały Adaś, którego starsze chłopaki przeganiały, a on nie ustawał. Nigdy nie płakał, nawet jak oberwał w ucho. Patrzył spode łba i uporczywie za nimi łaził.

– Franko, Franko – zaczęli na zmianę nawoływać, jak wówczas gdy objawił pewnego dnia wychodząc na podwórko z karabinkiem, który otrzymał na urodziny od ojca, że jest generałem Franco, i żeby tak go nazywali. Patrzyli na jego uzbrojenie z zazdrością, a on powiedział, że zawładnie wkrótce światem.

„Gdyby ludzie mieli nad wszystkim władzę, świat przestałby istnieć”.

(Fiodor Dostojewski)

Światem nie zawładnął, natomiast bardzo dobrze wykazywał się na swoim „małym kawałku podłogi”. Podobano mu się to określenie, które gdzieś usłyszał. Pasowało do niego. Przeróżający wszechświat pracy z jej wymaganiami, mnogością ludzi – kto swój, kto obcy – stawał się bardziej przyjazny, mniejszy, ciepły i puszysty jak mały kociak, którego znalazł potrąconego przez auto na poboczu i nie zostawił bez pomocy.

Kociak, z którego wyrósł potężny kocur, siedział mu teraz na piersi i ugniatał robiąc koci masaże. Był skupiony, starał się, patrzył na pana złotymi oczami. Chyba chciał pomóc, ale czy na pewno?

Spróbował przegonić kota, ale z jego ust wydobył się tylko cichy jęk. Ciężar nie do zniesienia, dusi. Kot patrzył nieustępliwie.

Jego myśli powracały obsesyjnie do powziętego zamiaru. Musi go przeprowadzić i powinien do tego celu zaangażować odpowiednie osoby – sprawdzonych przyjaciół z dawnych lat. Zaczął wynajdywać osoby, które mu coś zawdzięczały. To najlepsze, co udało się wymyślić. Taki ktoś będzie chciał przeciw w jakimś sensie zrewanżować się za dawną przysługę. Ożywiony, jął przeliczać, ale nie wyszło zbyt wiele osób. Za to zmęczyło bardzo. Z niektórymi utracił kontakt, nawet nie wiedział, czy mieszkają nadal w mieście, a nawet czy żyją.

Wytypował trzy osoby, do których miał kontakt telefoniczny. Jedna koleżanka, atrakcyjna, jak pamiętał, mieszkała w Londynie, druga gdzieś w Bieszczadach, w małej miejscowości i nawet zapraszała do szkółki jeździeckiej, jaką wraz z mężem prowadziła. Już tracił nadzieję, bo wiedział, że pech lubi takie ekstremum, kiedy jest wóz albo przewóz, i na ogół tego prognozy nie daje się przekroczyć. Zdenierwował się i postanowił zadzwonić kiedy indziej, aby przegonić pecha – jak kota, który chyba się obraził, bo zaniechał dalszej reanimacji swojego człowieka.

Sen jest najlepszym lekarstwem. W przedśennych marzeniach bowiem pojawiają się często rozmaite stwierdzenia, dywagacje, które, jak zauważył z satysfakcją, układały się w jego głowie nadzwyczaj gładko, tworząc wręcz motta, a nawet – sam przed sobą przyznawał skromnie – złote myśli. Bardzo lubił ten twórczy czas i cieszył się, gdy zapisywał kolejne przemyślenia. Ot, choćby takie: „Czego się wstydzisz, kiedy nic nie widać”. Albo: „Kto sam kłamie, drugiemu nie wierzy” lub „Z czasem wróble na strachu siadają”. Dokonania te cieszyły, pozwalając utrudzonemu spokojnie zasnąć.

Telefon do trzeciego przyjaciela okazał się kompletnym niewypałem. Może tamten miał już demencję, bo gadał coś od rzeczy i zasłaniał się zupełną niepamięcią. Trzeba więc było szukać dalej, co okazało się trudne, gdyż innych telefonów niż te, jakie wyczytał w starym, wymiętowanym notesie, nie posiadał.

„Nie chciwość, nie gniew i nie zazdrość, ale strach jest doradcą najnikczemniejszych poczynań”.

(Feliks Chwalibóg)

I zdarzyło się pewnego ranka, gdy sen odalał się wraz z bardzo interesującymi obrazami młodych lat, tak atrakcyjnymi, że zacisnął powieki, by je zatrzymać, co się nie udało. Jednak w zamian pojawił się ten, o którym mawiają, iż ma taką moc, która pomoże każdemu i w każdej sprawie. Ucieszył się i nie zwlekając zaczął opowiadać swoje życie, a szczególnie ostatni czas, który wymagał pilnej interwencji. Przedstawił ważnemu gościowi koncepcję opanowania nieznosnej sytuacji, powstałej przecież nie z jego winy, lecz będącej efektem podłego działania grupki osób pod kierownictwem (tu wymienił imię i nazwisko), co należy niezwłocznie obnażyć, ale po cichu, żeby się nie rozniosło. I najważniejsze, żeby nie zostawić śladów. Wyrzucił nadzieję, że z pomocą takiej ważnej osoby

sprawę da się szybko i w białych rękawiczkach załatwić.

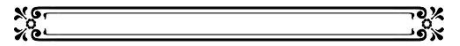
To chyba nie bardzo spodobało się przybytemu, bo pokręcił przecząco głową, a jego wzrok był poważny, nawet smutny. Podniósł się z krzesła i ani chybi chciał skierować ku drzwiom.

Jego zachowanie kłóciło się z tym, co o gościu było wiadomo, że pomaga, że każdemu. A tu kłops.

Nie mógł na to pozwolić, zaczął więc wykrzykiwać swoje oburzenie. Twarz mu poczerwieniała, serce najpierw waliło młotem, potem jakoś przycichło. Aż pojawiły się nowe twarze, pochyliły z troską, mówiąc coś głosami łagodnymi. A potem zaczęły się rozmawiać i nastąpiła ciemność.

Irena Nyczał

(Wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń są przypadkowe).



Ja tego nie napisałem

Autobus zatrzymał się na pustym o tej porze przystanku. Janek na pożegnanie kiwnął głową do kolegów, którzy jechali dalej, po czym zgrabnie, jak na dwudziestolatka przystało wyskoczył z autobusu. Poprawił pasek torby który przy wyskakiwaniu zsunął mu się z ramienia, po czym sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągając paczkę papierosów. Zapalił, nabierając w płuca wraz z dymem, rześkiego powietrza. Czerwony Ikarus zabukosował na zasypanej białym pychem i oblodzonej wysepce przystanku i ruszył w dalszą drogę, rozwożąc pracowników huty wracających po drugiej zmianie.

Było kilka minut przed 23.00. Janek ruszył w kierunku domu przemierzając w półmroku zaśnieżone blokowisko. W ciemnych bryłach dziesięciopiętrowych punktowców jedynie gdzieś gdzie paliło się żółtawe światło. W telewizji od kilku tygodni oprócz dziennikarzy w wojskowych mundurach mantrujących regulamin stanu wojennego nic ciekawego nie było, no, może poza kawałkami z festiwalów piosenki żołnierskiej z Kołobrzegu. Złapał się na tym, że jednej piosenki nauczył się na pamięć. Wykonawcą był sam Józef Nowak, któremu w wojsku było dobrze, i to bez względu na stopień na pagonach. Szedł tak brodząc po kostki w śniegu, kiedy nagle za winkła tonącego w mroku bloku pojawił się żołnierski patrol. Było ich czterech, i nie było najmniejszej szansy aby uniknąć czołowego zderzenia. Janek wstrzymał oddech, dźwigał coś w torbie co powodowało nie tylko wstrzymanie oddechu.

– Dobry wieczór – zagaił jeden z żołnierzy, zapewne dowódca patrolu. – Obywatela nie obowiązuje godzina milicyjna?